

JULIUSZ  
GERMAN  
BŁEKITNY  
FENFAL



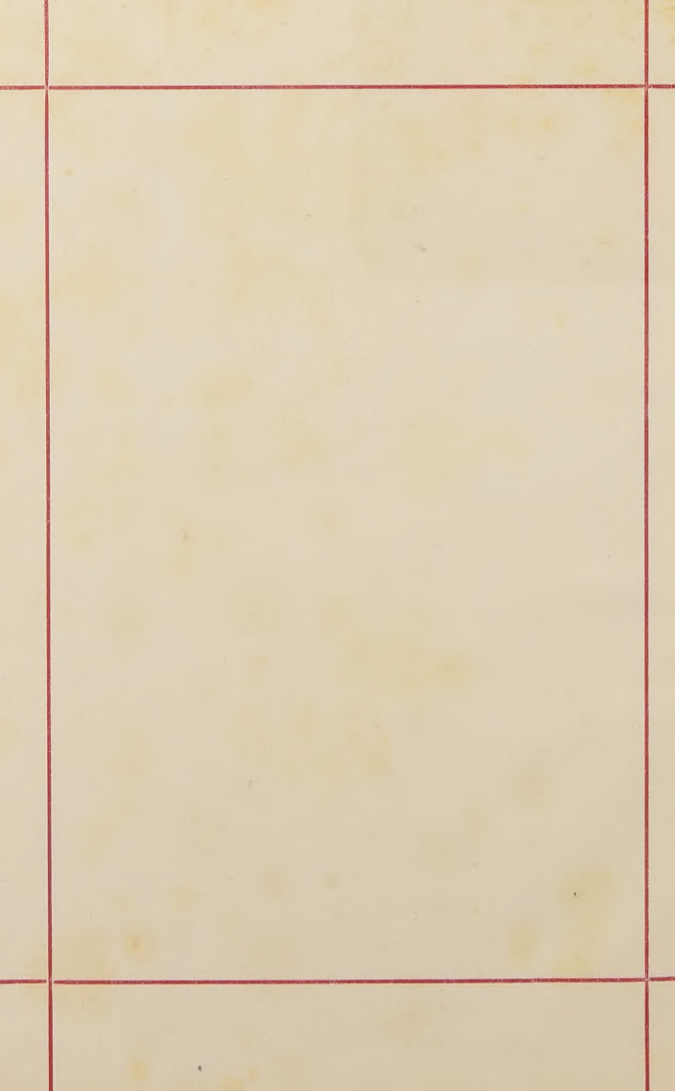
19

22



WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH.

BŁĘKITNY JENERAŁ



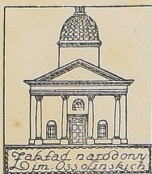


J. H. Hater

JULIUSZ GERMAN

# BŁĘKITNY JENERAŁ

WIERSZEM BAŚŃ PRAWDZIWA



**Kolekcja  
Emila Kornasia**

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW  
NAKŁADEM ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH  
1922




CM KEK

332460

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAR. IMIENIA OSSOLIŃSKICH

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 61 504 /2017/.....

dy wielkiej wojny rodziła się burza  
i Polską były — jeszcze trzy mogiły,  
ruszył ze Lwowa, z pod Karpat podnóża,  
w chmury, co zniszczeń piorunami lśniły,  
legjon walecznych — a młodości róża  
i wiosny blaski nad nimi świeciły.  
Rycerska w górę podniosła się szpada,  
w wędrówkę krwawą szła Druga Brygada.

A chociaż gniewem płonęły im skronie,  
że w austriackich wojsk walczą szeregu,  
myśl ich krzepiła, że idą w obronie  
tej czci rycerskiej, co, bielsza od śniegu,  
każe broń obcą w polskie ująć dłonie,  
przez otchłań męki dojsć wolności brzegu  
i światu rzucić hasło, krwią wciąż świeże:  
Choć Polski niema, polscy są żołnierze.

W upokorzenia szli drogę cierniową  
i w utrapienia trudów niezliczonych,  
wśród pacholęta — a ponad ich głową  
sztandarów nie kwitł blask białoczerwonych.  
Szara gromada w puszcze szli lodową,  
w dzikie przełęcze Karpat ośnieżonych,  
by pierś chłopięcą, jako mur ze stali,  
stawić naprzeciw nawale Moskali.

Był w trzecim pułku, w pierwszym bataljonie  
dowódcą wówczas mąż czterdziestoletni.  
Marzeń zadumą oczu lśniły tonie,  
niezłomną wolą rys twarzy szlachetnej  
i dziwnie dobrej. Lecz w zadum zasłonie  
palil odwagi się płomień prześwietny  
i gwiazdą nieraz w oczach tryskał czarnych,  
prawdziwie polskich: mężnych i ofiarnych.

Zwał się oficer ów, ten zadumany,  
kapitan Haller. W marzeniu oddawna  
sen o potędze śnił mu się wiośnianej,  
wojsk polskich siła zmartwychwstała, sławna.  
Pod jego wodzą ubrana w łachmany  
garść młodych chłopców. Ale prawda jawna  
marzeń — błyskawic nowych niesie świty;  
na czapkach orzeł polski — przez wiek skryty.



Z tą więc tysiãcznã garstkã szedł na boje  
w bory śniegowe i przez skał zwaliska.  
Gdy wokół niego kul świstają roje  
i śmierć miażdżące groty chmurã ciska,  
ranny, nie bacząc na krew i na znoje,  
na siwym koniu nagã szablã błyska,  
słania siã blady, ogniem w oczach świeci,  
woła: „Na koniu-m! Nic mi! Naprzód dzieci!”

Mowili o nim pocichu żołnierze,  
że kule wzdardã jak tarczã odgania  
i że ma oczy twarde jak puklerze;  
że wlasnã piersiã chłopców swych osłania,  
gdy oni leżã skryci w tyraljerze,  
widny zdaleka, pośród armat grania,  
wśród skał wykuty posąg z męstwa czaru,  
biały wśród bitwy krwawego pożaru.

A już tych bitew szereg szedł bez końca —  
(kapitan stopień wziął podpułkownika)  
i w nocach mroźnych, chmurnych dniach bez słońca  
żołnierza sercem nieraz rozpacz dzika  
szarpała srogo i męka mdlejąca.  
Tęsknota sercem ukochana znika.  
Sami na obcej Węgier walczą ziemi.  
O Polskę walczyć! Walczyć między swemi!

Tu, zapędzeni w górzyste pustynie,  
w brudzie i głodzie konają samotni.  
Któż kiedy wspomni tę krew, co z nich płynie?  
Któż się ich męki użali stokrotnej?  
Więc czasem, wsparty na swym karabinie,  
zapłakał żołnierz — Aniołowie lotni  
z tej łyzy cud wiją przyszłych szczęść promienia,  
z tej łyzy najcięższej, ze łyzy opuszczenia.

Nieraz szeptano piosnkę przy ognisku,  
beznadziejnością co zgrzytała bladą,  
zapały grzebiąc w zwątpień cmentarzysku:  
„Jak psów bezdomnych włóczymy się stado  
wśród chłosty mrozu i nędzy ucisku“.  
Wtem głos zawołał: „Wy drugą brygadą!“  
I mrok się nocy w światła rozwarł szpaler,  
między chłopcami wzrósł pułkownik Haller.

Wzrokiem potężnym ogarnął ich lica,  
wzrokiem serdecznym zajrzał im w głąb duszy,  
na synów wzrokiem popatrzył rodzica.  
„Chłopcy! Naprzeciw zwątpień i katuszy  
żelazna z naszych serc lśni błyskawica!  
O to żelazo rozpacz się pokruszy,  
na strzępów lichych rozpadnie się szczątek!  
Drogi po wolność dopiero początek!

Ciężka to droga, jeszcze cięższą będzie!  
Skrzepić się chłopcy i zacisnąć zęby!  
Gdzie polski żołnierz, tam jest Polska wszędzie!  
Przez tych gór stromych ośnieżone zęby  
wy niezłomności nieście mi orędzie!  
Wićhrom się młode ostaniecie dęby!  
Nikt z was sam tutaj! Brat stoi przy bracie,  
a Matka czuwa z gwiazd w srebrzystej szacie!

A ten, kto legnie tutaj w obcej ziemi,  
niech się nie lęka, że go Bóg zapomni!  
Oczami przejrzy on wkrótce jasnemi  
światłość ojczyzny wolnej i ogromnej!“  
Iskrami oczy trysły stalowemi,  
zawarli pięście żołnierze bezdomni  
na lufach broni — i już piosnkę składa  
nową a ufną „żelazna“ brygada:

O tej dziewczynie, co czeka w oddali,  
lubego szuka w rozmarynu woni,  
wzrok ma z szafirów, a usta z korali...  
Jak krew rycerska szkarłatniej się płoni  
od ust dziewiczych... Jak w bagnatów stali  
dźwięk tryumfalny radością zadzwoni,  
gdy wreszcie wejdą, pełni jasnej sławy,  
na plac Zygmunta, w ulice Warszawy.

Z pieśnią na ustach szli dalej wytrwale,  
przez zasp się śnieżnych przebijając zwały,  
lasów ostępy i przez wichrów fale.  
Orły budzili, co na szczytach spały,  
sami podobni orłom. I gdy dale  
gór niedostępnych w przepaść się rozwiały,  
nad tą przepaścią, wśród lodowych szronów,  
wybudowali tam Drogę Legionów.

Pod ich siekierą gdy padały drzewa,  
echo tych ciosów szło jak grom armatni  
w doliny krwawe. Pot im czoła zlewa,  
ręce w wysiłek tężą się ostatni  
i nad ich trudem burza dziwy śpiewa.  
Hej, wicher leci, z Polski wicher bratni!  
Huczą moskiewskie działa w łun pożodze.  
„Dla ciebie, Polsko“ — krzyż stoi na drodze.

Aż po dwóch latach bojów i krwawicy  
piosnki marzenie spełniło się złote.  
Druga Brygada weszła do stolicy,  
pułkownik Haller ujrzał swą tęsknotę.  
Ogarnął tłumy wzrokiem z błyskawicy,  
pozdrowił szablą. — W przywitań ochotę  
cień wpadł i jasność z jego oczu strącił,  
radość skrył chmurą i zgrzytem zamącił.

Bo warszawskiego patrzą tłumy twarze  
z goryczą, żalem na polskich żołnierzy:  
„Niemieckie wojska obok was tu wraże,  
garstko walecznych, nasi bohaterzy.  
O jakże ciężko Bóg ojczyznę karze,  
pod stopą Niemca serce Polski leży,  
na czapkach waszych orzeł świeci biały  
i was witają — pruskie generały“.

Twarz pułkownika zakrzepła dostojnie,  
ból w piersiach zamknął piorunową wolą.  
Strzec posterunku mu wiernie i znojnie,  
od swoich bóle choć najwięcej bołą.  
Niech trwa kamiennie ten hufiec i zbrojnie,  
jedynych polskich wojsk znaczony dołą,  
niech walk rzemiosła uczy się od wroga,  
a krzywd zapłata — ta w rękę jest Boga.

Więc choć się serce wzdryga, ogniem pali,  
trwać i gotować do walk przyszłych bronie!  
O, trzeba było hartu czystej stali,  
by gniew ku Niemcom w serca schować tonie  
i na placówce stać niezłomnie dalej,  
przez własną mękę w Polski stać obronie.  
Tak trwali, twardo dzierżąc karabiny,  
Hallera chłopcy, Karpát skalne syny.

I pokochała ich wkrótce Warszawa  
za młodość bujną, srebrne orkiestr granie,  
za mundur, w którym zapomniana sława  
w nowych nadziei rozbłyska świtanie;  
za uśmiech, który nie zna, co obawa,  
żołnierski uśmiech, co w śmierć i w kochanie  
z jednaką patrzy beztroską młodzieńczą.  
A oni — dusze szczęść osnuli tęczą.

Bo oto przyszły dusze te, wygnanki,  
do swoich wreszcie. Za samotne męki  
biorą ukojeń i spokoju wianki.  
Nie chcą za krew swą i trudy podzięki.  
Niech lśni przelotny uśmiech Warszawianki,  
niech brzmią w ulicach legionów piosenki.  
O, czegoż więcej żołnierzowi trzeba?  
Jest między swymi, więc mu nie brak nieba.

Ukojeń cisza — cisza to przed burzą.  
Niemiecki rozkaz naraz gwałtem spada:  
Krwi polskiej jeszcze nie wyciekło dużo,  
więc precz z Warszawy i z kraju brygada!  
Już w bukowińskich stepach zbyt się dłużą  
linje okopów. W tę pustkę się nada  
oddział straceńców. — Więc, jak tułacz wieczny,  
ruszyli znowu w letni dzień słoneczny.

Msza przed wymarszem pod krzyżem Traugutta.  
Szeregi stoją, rozpaczą stężale,  
twarz w twarz jak w bronzie męczarni wykuta.  
W bagnatów ostrza rzuca blask skry białe.  
Ostatnich świeci to pożegnań nuta  
z ojczystem słońcem. W mrocznych milceń skałę  
wtęm dźwięk uderzył — i smętek zamiera  
w piersiach żołnierzy. Był to głos Hallera.

W dali nad miastem złote kwitły dymy.  
Na białym koniu wpadł przed bataljony,  
oczami w niebo spojrział natchnionymi —  
i dostojęństwem dumy ozłocony:  
„Dzieci“, zawołał „przysięgam, wrócimy!  
Ja wam przysięgam!“ Przed niebieskie trony  
poszła przysięga. Żołnierzom nie skłamię  
brygadjer Haller. „Naprzód! Broń na ramię!“

Przyszły wśród dzikich pól smętne jesienie.  
Brygada trwała w szańcach na pustkowiu.  
I przyszło zimy mroźnej utrapienie.  
Tęsknotę każdy żołnierz miał w wezglowiu  
w ponurych nocach. Głuchych wieści cienie  
zaczęły krążyć, aż w podłości mrowiu  
ogniem strzeliły hańby! Wstańcie, zmarli!  
W traktacie brzeskim Polskę znów rozdarli!

Prus — Austrii dzieło. Nad polską brygadą  
brzmia austryjackich jeszcze komend zgrzyty.  
Za krew jej podle zapłacili zdradą.  
W chacie samotnej, zadumą spowity,  
brygadjer Haller ręką twarz wsparł bladą.  
Wojsk polskich szczątek z wszystkich stron okryty  
hord austryjackich czernią niezliczoną.  
Pójść i się przebić? W czerni tej zatoną.

Na śmierć ma wysłać resztę swych żołnierzy  
on, co im przysiągł, że do kraju wrócą?  
Czy garść potężde niezmierzonej zdzierży?  
Pójść. — Więc niech wichry szydercze zanuca,  
że znowu polski trup na trupie leży.  
Pójść. — Niech się matek tysiące zasmuca.  
Gdy w nim się rwała umęczona dusza,  
głos tajny szepnął anioła - genjusza :

„Pójść! Porwać wszystkich! Bo honor ojczyzny  
i polskich znaków w twojem dzisiaj ręku!  
Pójść! Bo od śmierci gorsze i trucizny  
przymierze z Niemcem. Pójść! Niech w broni szczęku  
protestem strumień krwi wykwitnie żywej,  
przed świat niech leci w złotych światel pęku!  
Przed Bogiem za swych odpowiesz żołnierzy.  
Niech gromem w hańbę polska broń uderzy!“



Więc wstał brygadjer. W oczach błyskawice.  
List do cesarza Austrii, że za zdradę  
w twarz mu pogardy ciska rękawicę  
wraz z orderami i w bój wznosi szpadę.  
Padł krótki rozkaz w nocy tajemnicę:  
Przez austryjackie linje pchnąć brygadę,  
w tłum niezliczony ich wedrzeć się zbrojnie.  
Polska jest z Austrią przeniewierczą w wojnie!

A chociaż wiedział każdy szeregowy,  
że pod krzyżacką pięścią świat się chyli,  
kartę Europy szpon jej gnie surowy,  
żaden się jednej nie namyślał chwili.  
W pochód śmiertelny każdy był gotowy.  
Ogniem poświęceń oczy ustroili  
i poszli wszyscy. Nie zbrakło nikogo,  
Nawet kobiety tą z krwi poszły drogą.

Poszli. — Czerwonych raket trysły snopy  
i ze stron wszystkich zahuczały działa.  
Na austryjackie poszli wręcz okopy,  
aż się zimowa noc rozjękła biała.  
Wrogów się zewsząd wałą w nich potopy.  
Salwa z pancernych pociągów zagrzmiała  
w garść legjonistów i śnieg krwią się plami.  
Torują sobie drogę bagnetami.

A w strzałów huku i ognia purpurze  
brygadjer Haller na żołnierzy czele.  
Wzrok orli wodza i twarz jak w marmurze.  
„Trupami przejście brygadzie uściele,  
a przedziem — wolni. Aniołowie w górze,  
wy bądźcie krwi tej i męczarń mściciele“.  
Przeszli. Za nimi ryknęły armaty  
a Duch narodu stał przy nich skrzydlaty.

To była ongi bitwa pod Rarańczą.  
Z siedmiu tysięcy dwa się tam przedarły.  
Reszta w więzienną szła kaźń obłąkańczą,  
albo poległa. Lecz każdy umarły  
wolnym już zginął, pętlę służb poddańczą  
zrzuciwszy z szyi. Wrota się otwarły  
na świat szeroki: oto już swobodny  
jest żołnierz polski, choć nędzny i głodny.

I poszedł Haller w stepy Ukrainy  
z oddziałów resztą swych niezwyciężoną.  
Szedł w pól tych bezmiar, w których Dniepr lśni siny,  
w których zachodu światła smutkiem płoną,  
zórz rozpinając czerwone rubiny  
nad ziemią ciągle krwi nienasyconą.  
A wicher szumi, tęsknicą się żali.  
Od Polski idą coraz dalej, dalej...

Więc gdy przez stepów szli tak ugor dziki,  
głos ku nim polski w czarnej nocy woła:  
„Kto idzie? Hasło?” — „Polskie idą szyki!”  
„I tu Polacy!” Któż opisać zdoła  
zamęt radości, powitań okrzyki?  
Jakby przyszłości lepszej apostoła  
brygadę polskie przyjęły oddziały.  
Z dwóch stron tak wichry w jeden huf ich zwiały.

Jeszcze niedawno w piersi mogli bratnie  
godzić wzajemnie, ci po Rosjan stronie,  
tamci przez Austrię w walk wpędzeni matnię.  
Jeszcze niedawno, w obcych wojsk zasłonie,  
mogli się poznać dopiero, ostatnie  
łącząc westchnienia, gdy krzyżując bronie,  
Polak z Polakiem, konając, wołali:  
„Matko!” — „Tyś Polak!” — „Tak!” — I umierali.

Wolni jak ptaki teraz i złączeni,  
w uścisk się bratni biorą i dziękczynny.  
Choć wśród pól obcych sami, opuszczeni,  
otuchy gwiazdą mrok świeci pustynny.  
„Mało nas! Garść ta w armję wnet się zmieni!  
I niech karpackiej wódz brygady słynnej  
prowadzi wszystkich” Krzyknęli z zapalem:  
„Haller dowódcą! Haller jenerałem!”

Objął komendę. Zamyśleń powaga  
chmurnych z jasnego nie schodziła czoła.  
Z zadumą ciężkich myśli znów się zмага:  
Krzyżacki pierścień żelazny dokoła,  
Polska daleko, drogą szabla naga  
i jęk z ojczyzny, co ratunku woła.  
Więc tysiącami trza znów iść — w miliony,  
znów przelać potok polskiej krwi czerwony.

Niech się poleje ta krew jak fontanna,  
gdy z niej zmartwychwstań siła piorunowa  
tryśnie i żyć już będzie nieustanna.  
Niech zatem bitwa rozegra się nowa  
i polskiej broni święta strzeże Panna.  
I przyszedł korpus na pola Kaniowa,  
a za nim w sieci oplocie zdradzieckich  
szły czarne węże dywizji niemieckich.

Jest pod Kaniowem, tam na Ukrainie,  
futor Jemczycha. O nim Wernyhora  
mówił, że bitwą o Polskę zasłynie.  
Na przepowiedni jawę przyszła pora:  
Pruski oficer w polskie leci linje,  
od feldmarszałka goniec: „Do wieczora  
broń złożyć, poddać się nam jako jeńcy!  
Wy otoczeni i stokroć nas więcej“.

Jenerał Haller posła wrażej zgrai  
odsyla z niczem. Prusak rozejm wnosi,  
a w oczach lisi uśmiech mu się czai.  
Zgoda na rozejm. Gdy świt ziemię zrosi,  
bój się rozpocznie. Lecz noc zdradę tai,  
sierp wiarołomstwa kłós ufności kosi.  
Na śpiących Niemcy napadają tłumnie.  
(Niemiecki honor dawno w zgniłej trumnie).

Oto się bitwy rozpoczęło piekło,  
w której bezbronni walczą z tysiącami,  
w której z serc polskich morze krwi wyciekło,  
świecąc ofiarnych dusz błyskawicami.  
Marzenie dawne w prawdę się oblekło:  
W otwartej walce Polacy z Niemcami.  
Po wiekach długich z szabel iskry lecą  
i na świat cały złotą łuną świecą.

Za polskie krzywdy, niewoli przekleństwo,  
za wiarołomstwa ohydę spodloną,  
za polskich dzieci niewinne męczeństwo,  
za gwałt ucisku i ziemię skradzioną  
każdego biło się żołnierza męstwo.  
I choć ta bitwa była zrozpaczoną,  
niech nikt nie mówi, że była przegraną,  
bo w niej niemieckie kłamstwo w proch strzaskano

Bo, choć w niej korpus rozproszył się cały,  
świat się przekonał, że Prus obietnice,  
to oszustw tylko lichych rój zuchwały,  
że fałsz i podłość to ich dusz siostrzyce  
i że u grobu Polski zmartwychwstałej  
poto przysiadły, by zawrzeć trumnicę  
i jeszcze ciaśniej przydusić jej wieko,  
że Polak z Niemcem — na zawsze daleko.

Więc szli ułani na armat pożary,  
żelaznym murem piechota stanęła.  
Lecz, gdy rozbłysły rannych mgieł opary,  
przewaga Niemców polski front ugięła.  
Wtedy pułkowe spalono sztandary,  
zagrał dźwięk orkiestr: „Jeszcze nie zginęła“  
i w pojedynkę każdy się przedzierał,  
szedł do niewoli lub walcząc — umierał.

Lecz Haller skargą nie jęknął: „niestety...“  
W zamęcie bitwy zewsząd otoczony,  
sam się przez Niemców przedzierał bagnety.  
Przeszedł i ruszył dalej, opuszczony,  
za towarzyszków mając pistolety.  
Poszedł samotny i niezwyciężony,  
w przebraniu Dońca, ścigany przez wroga.  
Step głuchy pod nim — a nad nim wzrok Boga.

Bez wojska został — a na jego głowę  
Niemiec naznaczył cenę stu kies złota.  
Więc szedł jak tułacz przez dale stepowe,  
a więzien groźnie czyhały nań wrota.  
Pieśni słowicznych w nocie księżycowe  
na pocieszenie grała mu tęsknota.  
Dusza w nim trwała wciąż hartem niezłomna.  
On był bezdomny — i Polska bezdomna.

Iluby pod tem brzemieniem upadło,  
iluby rozpacz pozbawiła wiary,  
iluby, w dłonie twarz kryjąc pobladła,  
szepnęło: „Na nic boje i ofiary,  
młot Niemca w swoje świat kuje kowadło,  
wieczny nad Polską proch niewoli szary“.  
Przez myśl Hallera jasna idzie wstęga:  
„A jednak moja spełni się przysięga“.

Więc przedzierając się przez wraże sieci,  
niezmordowany nowe budzi czyny.  
I w stepy rozkaz za rozkazem leci:  
„Pod broń, kto Polak! Wódz wzywa jedyny!“  
A rozkaz w sercach nowe iskry nieci,  
z nadzieją w nowe wiąże zaślubiny.  
„Jest wódz i czuwa! Zbierać się, Polacy!  
Z ziemi dalekiej wlecim w kraj jak ptacy!“

W Polskę wieść niesie imię jenerała,  
a on wśród wrogów tuła się samotny.  
I gdy śmierć skrycie na niego czyhała,  
w mury Kijowa przekrada się lotny.  
W przebraniu kupca stamtąd podróż śmiała  
wiedzie go w północ. — Jakże szlak powrotny  
ten jest daleki, o Polsko, do ciebie.  
Szlak w krwi i trudzie, o tułaczym chlebie.

A w tej wędrówce, w chacie czy pod drzewem,  
wszędzie, gdzie Haller, sztabu jest kwatery.  
Rozkazy idą w dal potężnym śpiewem,  
oddział się każdy rozproszony zbiera  
pod jednej woli wichrowym powiewem.  
Czekają karni znów na zew Hallera  
w bezmiarach Rosji, w murmańskim wybrzeżu.  
O gdzież ty polski tułasz się żołnierzu?

Jenerał w Moskwie, w słynne białe noce,  
w których dnia jasność świeci zimnem lodu,  
w zadum się ciężkich zagłębia pomroce:  
„Trwa polski żołnierz wśród trudu i głodu,  
a wciąż niemieckie ponad Polską moce“.  
„Więc jedź do Francji“ szepnął Duch narodu,  
co w opuszczenia wędrówce bezdennej,  
strzegł go i chronił, jasny stróż promienny.



„Gdyś wśród żołnierzy zbudził moc wytrwania  
i na obczyźnie polskie zatknął znaki,  
śpiesz w kraj przyjaciół. Tam wśród burz łyskania  
przed bohaterstwem łamią się Krzyżaki.  
Z Francji pomocą z pustyni Murmania  
sprowadzisz swoje rozproszone ptaki.  
Tam Marsyljanka gra wolności dźwięki.  
Tam ręka brata twojej sięgnie ręki“.

Do Francji! Przeszkód znał się piętrzył stromy,  
wokół szaleją grabieże i mordy.  
Przedarł się Haller na skaliste złomy  
morskiego brzegu przez sowieckie hordy,  
przez otchłań nędzy, szpiegów rój kryjomy.  
Okręt na fińskie wnet odpływa fiordy,  
w drogę do Szkocji. Ręce wznosił w modlitwie:  
chwila spoczynku nareszcie — po bitwie.

Brzeg Anglji lśni już w chmurze mgły surowej  
i — jak Anglików dusze — zimnem wieje.  
Oschłemi wodza witają tam słowy.  
Prędeż, do Francji! Mur Hawru bieleje,  
francuskich straży błyszczą hełm stalowy  
i świt nadzieją ożywczą się śmieje.  
Wysłaniec rządu czeka bohatera  
i Francji przed nim schyla się bandera.

Uśmiech błysł w smutnych oczach jenerała,  
co na krwi tyle i grozy patrzyły.  
Z dali ku niemu uśmiech Polska słała,  
radośnie serca w ojczyźnie ożyły.  
Polskiego wodza dłoń zawarła śmiała  
ze siostrą Francją sojusz wiecznej siły.  
Dwóch męczeństw wieńce i dwóch chwał pomniki:  
przy białym orle żołnierz republiki.

Do czynu! Świeci gościnne tu słońce,  
niech pod niem armja ojczysta się zbudzi!  
We świata strony lecą wieści gońce.  
Gdzie tylko Polak w obczyźnie się trudzi,  
na rozkaz zdąża. I idą obrońce,  
rwie tłum do polskich niw stęsknionych ludzi.  
Bez chwil wytchnienia Haller niestrudzony  
szeregi zbiera w huf rozblękitniony.

Idą na hasło jego z świata krańców,  
z za oceanu tysiączne gromady  
amerykańskich Polaków wygnańców.  
Stale ich dłoni świat ruszą z posady,  
by spędzić wroga precz z ojczyzny szańców.  
Idzie i resztką żelaznej brygady,  
co z tyłu piekieł i burz ocalała  
i za swym wodzem przedarła się śmiała.

Z włoskich obozów polscy śpieszą jeńcy,  
co pod przymusem z Austrią iść musieli,  
za obcą sprawę walczyli — straceńcy.  
Poznańscy idą chłopcy, co z gardzieli  
pruskiej wydarli się... Coraz ich więcej,  
rosną oddziały, jak gdyby anieli  
polscy wołali wszystkich w orszak bitny —  
i wszystkich mundur okrywa błękitny.

Jak niebios błękit nad polskimi łąny,  
lśnią Hallerczyków te żołnierskie szaty.  
Jak śliczne oczy dziewczyny kochanej,  
jak uśmiechnięte na polach bławaty  
i jak fal Wisły urok rusalczany.  
Cieszcie się fale i cieszcie się kwiaty,  
w ojczyźnie wszystkie cieszcie się dziewczęta!  
Haller do kraju wiedzie swe orłęta.

Jakże go wszyscy czekają gorąco,  
jakaż go wieść tam ufnością oplata,  
ileż serc woła tęsknotą go drżącą!  
Więzienna pękła ponad Polską krata,  
zbiegli z niej Niemcy ucieczką hańbiącą,  
lecz burz się nowych rozpala poświata!  
Rusinów bandy polską rwą ziemię,  
z Rosji walk groźnych idą błyskawice!

Naprzód! Do Polski! A pułków sztandary  
od miast francuskich polska armia bierze.  
Szczerą przyjaźni braterskie to dary,  
a miasta Francji — to miasta-żołnierze,  
co bitew srogich przetrwały pożary,  
przed Paryż kładąc krwawe serc pancerze.  
Dywizjom polskim sztandarów zaszczyty  
prezydent zdaje Rzeczypospolitej.

Jadą! Mknie pociąg pełny za pociągiem,  
a każdy świeci i błyszczy błękitem.  
Orzeł zajaśniał nad granicznym drągiem!  
Już Polska! Bajką zdała się i mitem...  
Już Polska żywa! Kamiennym posągiem  
zakrzepł generał, zdjęty szczęść zachwytem.  
I wziął w swe oczy polskie słońce całe,  
co nań zsyłało błogosławieństw chwałę.

Oto powraca tułacz umęczony,  
wraca przez tyle trudów i męczarni,  
przez rozpaczliwych bitew szlak skrwawiony.  
I nieugiętej hart woli ofiarnej  
przez przeszkód przepaść zdobył cel wyśniony.  
Jest w swej ojczyźnie. Z nim żołnierze karni,  
tułacza piersi strój zdobi zaszczytny:  
błękitnych hufców generał błękitny.

I oto swojej dotrzymał przysięgi,  
żołnierzy wiedzie znów w mury Warszawy,  
na zawsze wolnej z wrogich pęt potęgi.  
A nad nim skrzydła nieśmiertelnej sławy  
we wawrzynowe splatają się wstęgi.  
I pęd miłości, wielkiem szczęściem łzawy,  
ze wszystkich polskich dusz ku niemu leci  
i wszystkie polskie śmieją się doń dzieci.

Wielki zaprawdę mógł się czuć i dumny,  
on jeden w Polsce, co był tak kochany.  
Rycerz — odrzucił podszept pychy szumnej,  
rzekł: „Naczelnemu-m wodzowi poddany“,  
żołnierskie sprężył rozkazem kolumny,  
poszedł z raportem w Belwederu ściany,  
że przybył z armją swą z ziemi francuskiej...  
I długo w oczy patrzył mu Piłsudski.

A kryształowe oczy bohatera  
męstwem i prawdy czystym źródłem lśniły.  
Więc Piłsudskiego dłoń z dłonią Hallera  
w uścisk się zwarła granitowej siły.  
Na tym uścisku gmach się Polski wspiera.  
A jenerała skroń wieńce owiły  
ze wszystkich zwycięstw największego może:  
dumę pod stopy złożył kornie — boże.

Rozbłękitniło się więc w Polsce całe  
od tej żołnierskiej drużyny hartownej.  
Wszystkie się chaty słodko roześmiały,  
gdzie stał kwaterą Hallerczyk wędrowny.  
We wszystkich duszach moce spotężniały,  
przez kraj szedł wszystek uśmiech słońce cudowny  
i do serc pukał i serca roztwierał:  
wrócił z obczyzny błękitny generał.

Na bój powrócił. Na wschodnie granice  
idą już pułki jego w mgłę bagnetów,  
jak archanielskie skrzącej błyskawice.  
Tam skrytobójczych nawała sztyletów  
opływa starych polskich ziem stolicę.  
O wytrwaj, Lwowie! Już błyski odwetów  
pod twoje mury biegną burzy wiewem  
w proch Rusinów świętym zmiotą gniewem.

Ci, co bezbronnych mordować umieli,  
w zbójckim mocni jedynie napadzie,  
zbiegli przed ciosem polskiej karabeli,  
pieniąc się w złości i bezsilnym jadzie.  
Lwów biały z krwawej powstaje topieli,  
laur mu się w mury poszarpane kładzie  
i ten sam order miasto w herb swój bierze,  
który na piersi błyszczącej twej, Hallerze.

Na zachód teraz, złączyć polskie włości,  
co pod niemieckim jarzmem wiek przetrwały,  
z ojczyzną znowu w wiecznej ślub miłości.  
Prastarej Piastów kolebka to chwały,  
krew z krwi tam polska i polska kość z kości.  
Teraz dopiero dziejów trybunały  
oddają Polsce na wolności wiano  
ziemię, przez Niemców podle zrabowaną.

Gdy wszedł generał Haller w tę krainę,  
przed pierwszym krzyżem przyklęknął przy drodze  
i Bogu za tę dziękował godzinę,  
w której ta ziemia, umęczona srodze,  
na swojskie łono wróciła matczyne.  
Wokół stanęli żołnierze i wodze.  
I ludu tłumy, co zewsząd się zbiera,  
na tę modlitwę patrzyły Hallera.

Twardy to lud jest i w sobie zamknięty,  
bo przeszedł tyle prób, ucisku tyle.  
Pięść ma z żelaza i Bóg mu jest święty.  
Więc w duszę ludu tego w ową chwilę  
wrósł Haller, zbożny wódz i nieugięty.  
Jak oni — dzięki własnej wytrwał sile,  
jak im — cierniami słała mu się droga,  
jak oni — wierzył całą duszą w Boga.

O nieszczęśliwy stokroć, kto nie wierzy,  
że ponad ludźmi i ponad światami  
uśmiech Mądrości i Dobroci leży,  
że się nie kończy życie z mogiłami,  
że nowych istnień godzina uderzy.  
Jasnemi takiej wiary błękitami  
spowita dusza światłem bożem świeci,  
w błękit bezkresny przyszłości — zaleci.

Tak wierzył Haller — jenerał błękitny.  
I, gdy nad polskim morzem stanął zbrojny,  
zjął z palca pierścień i na ślub zaszczytny  
rzucił we fale. Szczęścia hymn ukojny  
zszemrał w toni, hymn, sercem uchwytny.  
I pieśni morza zagrał czar dostojny,  
rozkołysały się burzliwe fale  
na Polski szczęście i ku Polski chwale.

I zaszumiało to ojczyście morze,  
z dumą fal śpiewnych wznosząc w niebo szczyty,  
że tylko polskie jest teraz i boże.  
I był wód bezmiar w srebrną mgłę spowity,  
a nad nim błysły purpurowe zorze,  
jak gdyby sztandar rozwinął się skryty  
białoczerwony ogromny nad tonią.  
A fale hejnał pozdrowień mu dzwonią.



Jenerał, patrząc w to morze szumiące,  
potęgą przyszlą Polski pieścił oczy.  
Bo był z tych ludzi, których widmo drżące  
zwątpień na jedną chwilę nie zamroczy.  
I choćby czarny obłok zakrył słońce,  
przed wzrokiem zawsze blask mu się roztoczy.  
Śpiewajcie, fale, pieśń mocy i czarów.  
On stróżem polskich nad morzem sztandarów.

Burz obłok zdala zbiera się gromowy,  
burz czarne wichry kłębią się złowrogo.  
A jeszcze nieba strop lśni lazuruwy  
i jeszcze ciszą oddycha kraj błogą.  
A tylko dymią się strzeleckie rowy  
gdzieś tam na kresach — i daleką drogą  
pod Kijów idą polskich wojsk oddziały,  
hen za ojczyzny granice i wały.

Ocenia kiedyś dzieje tę wyprawę.  
Po niej przeleciał przez kraj krzyk rozpaczy,  
że nie za swoją bił się żołnierz sprawę.  
Zostawmy dziejom sąd! A wódz tułaczy,  
Haller, nie poszedł w owe pola krwawe.  
Inną mu rolę los wkrótce przeznaczy.  
Żadnej mu wtedy komendy nie dano.  
Czekał — o szablę wsparty hartowaną.

Aż się rozpętał owych burz nad burze  
orkan, w zniszczenia wstając strasznej łunie.  
Zawył we wichrów potępieńczych chórze.  
I bił w dom Polski piorun po piorunie  
i chmura cięższa spadała po chmurze.  
Już się zdawało, że w proch dom ten runie.  
Nieszczęście marą zjarzyło się siną:  
Armje się polskie cofają i giną.

Grozy pieśń bije w pogrzebowe dzwony  
i w każdym polskim sercu głucho jęczy:  
nad Polską najazd krwawi się czerwony,  
już coraz bliżej hord tłum potępieńczy!  
A wciąż się cofa żołnierz utrudzony.  
Odwrotu męką dusza mu się dręczy  
i słabną dłonie. — Jak okrutne brzemię:  
wrogowi coraz swą oddawać ziemię.

Już bolszewickie czernie tryumf kraczą,  
we wsi i w miasta potopem się walą  
i dymem ruin szlak zwycięstwa znaczą.  
Pożar płomienną szaleje już falą.  
Rozpacznie wszystkie polskie matki płaczą.  
Wiązania dachu trzeszczą i się palą  
nad Polski głową — i krzyk idzie łzawy:  
Wróg już się zbliża pod mury Warszawy!

Pociąg w noc ciemną całym pędem leci  
i na szyn węże krwawe iskry ciska.  
Coraz gna prędzej wśród iskier zamieci.  
Grzmot dział — W oddali huczy wciąż i błyska.  
W szybie wagonu twarz spokojna świeci,  
tysiącom znana i tysiącom bliska.  
Pociąg rwie wichrem. Wiezie bohatera.  
W pomoc naczelny wódz woła Hallera.

I z jenerała ust leci wezwanie:  
Pod broń — bo żołnierz ustaje już bratni!  
Pod broń — niech każdy żołnierzem się stanie!  
Pod broń — kto oręż w dłoni strzyma zdatnej!  
Pod broń — bo Polska tonie w huraganie!  
Niechaj wysiłek spręży się ostatni,  
jeżeli wolność, ledwo odzyskana,  
pogromu ująć ma i odżyć — wiośniana!

Ten głos, co wołał, wszystkie polskie struny  
we wszystkich sercach szarpnął, aż zadrgały!  
Więc pacholeta, przyszłości zwiastuny  
idą i starzec idzie osiwiąły.  
Idą w krwi odmęt i armat pioruny,  
w szeregi wojska nowe nieść zapaly.  
Idą — w poświęceń obmocy krynicy,  
Hallera armja nowa — ochotnicy.

On umiał wskrzesić tę iskrę szlachetną,  
w duszy Polaka, co śpi pod popiołem.  
Wskrzyszona, pali jasnością się świetną  
jakby ją świecił Bóg nad ludzkim czołem.  
On, otoczony serc miłością kwietną,  
skry te płomiennym powiązał zespołem  
i wiódł na wrogów zniszczeniem cmentarnych  
już nie oręży moc — lecz dusz ofiarnych.

Gdy pod Warszawą grały już armaty,  
Haller zamówił siedem mszy w kościele  
i leżał krzyżem, modlitwą skrzydlaty,  
siedm ran w Chrystusa wspominając ciele.  
A jak z tych świętych ran wyrosły kwiaty,  
z mszy siedmiu duszom sił przybyło wiele.  
W bój w czystej młodzież aniołów szła bieli.  
Księża ją nieraz wiedli i ginęli.

O, ten, kto wzbudził takich serc ofiary  
i takich rozlił bohaterstw płomienie,  
najwyższych w sercu ma poświęceń żary  
i sam jest czysty jak dziecka marzenie.  
Ten silną dłońią ojczyste sztandary  
przez krew przewiedzie i poprzez cierpienie,  
w szaniec honoru zatknie je zwycięski,  
wołą niezłomną zdruzgotawszy klęski.

Zawsze był w pierwszych okopach generał  
i nieraz przy nim był syn jego mały.  
Gdy grad żelaza powietrze rozdzierał,  
Hallera oczy na innych patrzyły.  
Bo synem był mu każdy, co umierał,  
każdy ten drogi polski chłopiec śmiały,  
który, śmiertelną naznaczony blizną,  
padał z okrzykiem: „Lecz ty żyj — ojczyzno!”

A gdy najcięższa zawrzała już bitwa,  
o los Warszawy, bolszewickie bronie  
wraz z polskim mieczem zniszczyła modlitwa.  
Bo im zjawiła się na nieboskłonie  
anielskich jakby rycerzy gonitwa,  
przy polskich hufcach stająca w obronie,  
w ognistych zbrojach, w łunie złotych wieńcy.  
(Tak bolszewicy zeznawali jeńcy).

Więc porażeni strachem i bezsiłą,  
jak oszalałe dzikich zwierząt stado  
wnet się rozsypką rozlecieli zgniłą,  
wyjącej tłuszczu bezładną gromadą.  
I w mrok uciekli. A słońce załśniło  
strzałą tryumfu ponad polską szpadą.  
W tym blasku zmarłych bohaterów czoła  
uśmiech całował złocisty — anioła.

Burzy obłoki gasły coraz bledsze  
i groźne wichry w nicość się rozwiały.  
Czystym błękitem zakwitło powietrze,  
świeże powiewy od fal Wisły wstały.  
Wroga już goni, bije i w proch zetrze  
znów żołnierz polski, nową mocą śmiały.  
Taką to była Warszawy obrona,  
różami młodych poświęceń majona.

A jeden tylko był głos wielki ludu,  
głos z serca głębi, co nigdy nie skłamię:  
Wódz to błękitny, niezłomny wśród trudu,  
zapalem Polski tak ukrzepił ramię,  
że stała święta godzina się cudu  
i kraj wziął znowu bohaterstwa znamię.  
Ten głos przez ziemie echem szedł dziękczynnem,  
budził się w matce i dziecku niewinnem.

Tak, cudem Wisły bitwę tę nazwano,  
w której potęga hord legła pokotem,  
co szły nawałą, od mordu pijaną,  
bryzgając wokół bluźnierstw wstrętnem błotem.  
Tak, cud jutrzeńką wtedy wstał różaną,  
na falach Wisły pisząc pismem złotem,  
że jest w narodzie moc — choć skryta cieniem —  
co z Boga zawsze zwycięży imieniem.

O tej to mocy jasnym zmartwychwstaniu,  
o wszystkich mrocznych strąceniu z niej cieni,  
o dniu, w przeczystem co wejdzie świtanu  
i wszystkie dusze oczyści i zmieni,  
że się kamienne staną w zła przetrwaniu,  
że się w nich miłość szlachetna spłomieni  
w dobro ojczyzny — ten jeden cel szczytny:  
o tem jenerał nasz marzy błękitny.

A jest z tych ludzi — mało ich zaiste,  
którym się tęsknot zjawienie spełniło.  
O wojsku polskiem marzenie snuł czyste:  
dźwiękiem mu prawdy rycerskiej ożyło:  
Rarańcza, Kaniów, te słupy świetliste,  
co nad niewoli wyrosły mogiłą.  
Śnił o powrocie rozproszonej młodzi:  
z Francji do kraju armji swej przewodzi.

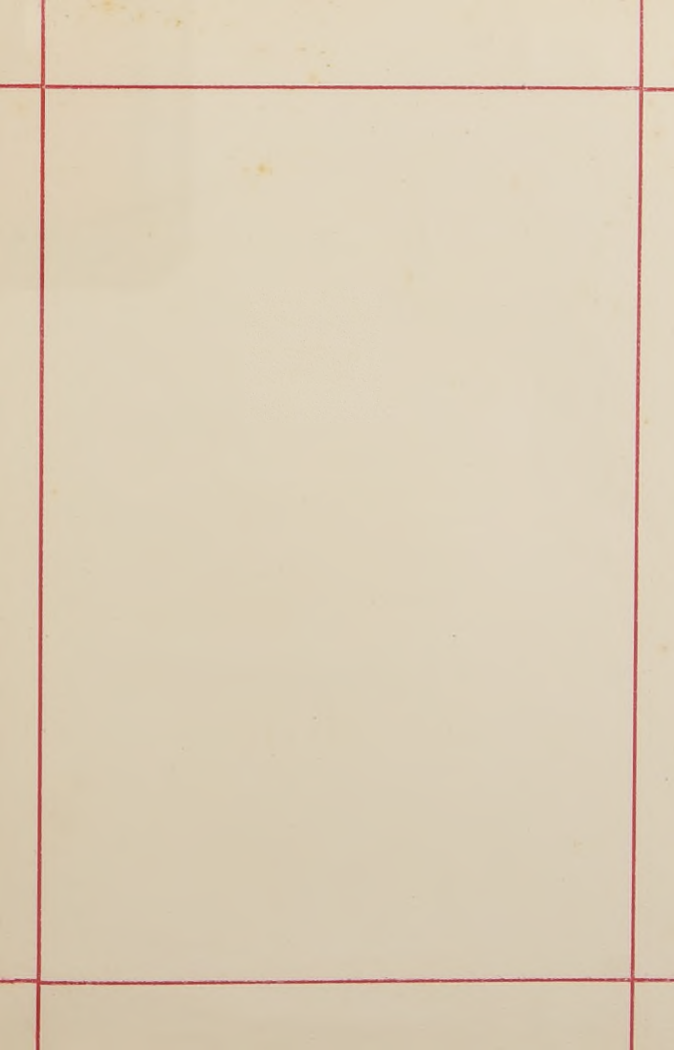
A gdy po bitwie wielkiej pod Warszawą  
zasnął strudzony raz w nocy jesiennej,  
sen mu przedziwną rozświetlił się zjawą:  
i ujrzał posąg wielki i promienny,  
ale mgłą zewsząd otoczony krwawą,  
co zeń spływała ciągle w mrok bezdenny.  
To Polska — jeszcze niedość jasno świeci,  
jeszcze jej szaty własne brudzą dzieci.

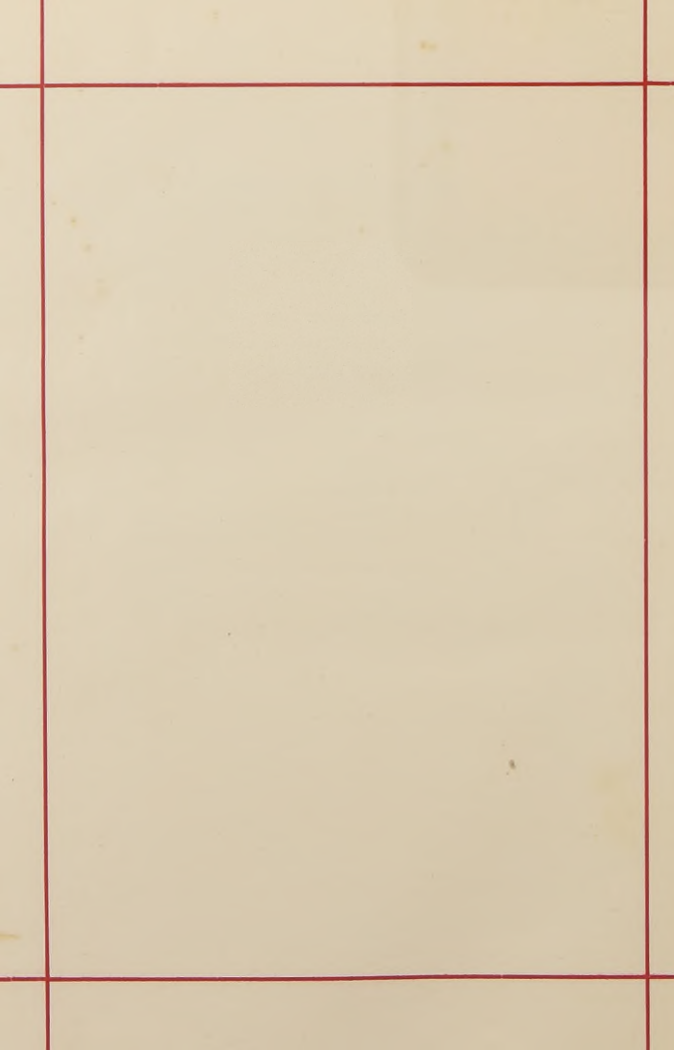
Wokoło chciwość i sobkostwo zgrzyta  
i śnieżne szaty Polski grzechem plami.  
Więc choć niedawno jeszcze w krwi obmyta,  
opływa bólem i krwi potokami.  
Lecz spłynie krew ta — i wnet dzień zaświta,  
gdzie brud się spali świętych sił iskrami  
i stanie Polska w kształt boskiej kolumny,  
posąg z marmuru, czystą mocą dumny.

O chłopcze polski, powieść nieskończona  
o błękitnego jenerała czynach.  
Jeszcze przyszłości kryje ją zasłona,  
jeszcze w nieznanych zadzwoni godzinach,  
stałą potężna i sławą złożona,  
jasna jak słońca błysk na karabinach.  
Nowych się zdarzeń rozwiną obrazy.  
On czeka — wsparty o swój miecz bez skazy.









×KSIEGARNIA×

ANTYKWARIAT



401851 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu

**CM KEK 332460**



000-332460-00-0

